

Mgr Krzysztof J. Kwiatkowski

Metoda działań niekonwencjonalnych

Cz. 3 – Konwencjonalne zło, czyli ucieczka od samego siebie

Ludzie szukają bardziej winnych od siebie.

W ten sposób jest im lepiej.

N.N.

Wszyscy jesteśmy uwikłani w układy konwencji zachowań. Regulacja tego, jak człowiek zachowuje się w sytuacjach społecznych, jest z jednej strony ułatwieniem w wyborze postępowania, z drugiej zaś – pozwala odczytywać cudze reakcje. Wierne trzymanie się zwyczajowych reguł pozwala być w grupie tzw. „osób dobrze wychowanych”; a opowieść G.B. Shawa zatytułowana „Pigmalion” przedstawiła uwarunkowania utrzymywania się w „wyższych sferach”. Decyduje o tym często nie treść tego, co mówimy, ale przyjęty sposób postępowania, artykulacja, timbre głosu, gestykulacja, rodzaje spojrzeń... sama konwencja. Trzymanie się konwencji więziennej podkultury, nie pozwala opuścić tego środowiska.

Rzadko zastanawiamy się, że „konwencja w ogóle” jest naszym więzieniem.

Mam różnych sąsiadów. W zasadzie wszyscy oni są sympatycznymi ludźmi – tak już trafiłem. A wyznam, że otrzymując mieszkanie w blokach modliłem się o dobrych sąsiadów. Nie wyobrażałem sobie życia wśród obcych sobie złośliwców i dokuczników.

Mógłbym dokonać wiele klasyfikacji owych ludzi. Jednak jednym z elementów dzielących ich na trzy grupy, jest sposób witania się. Niektórych ludzi spotykam od wielu lat na tym samym podwórku i zawsze wbijają wzrok w chodnik, kiedy ich mijam. Myślałem, że to ja wpływam na nich tak deprimująco, ale okazało się, że nie tylko ja. Kilka razy próbowałem przedostać się za tę barierę i nawet kilka razy mi się udało – większość jednak nadal kryje się przede mną.

Są tacy, którzy zawsze mówią „dzień dobry” i nawet się uśmiechają. Dzieje się to jednakowoż tylko wtedy, gdy znajdziemy się na wprost siebie a nasz wzrok się spotka. Kiedy jednak jestem odwrócony tyłem, bo akurat próbuję otworzyć kluczem drzwi do klatki schodowej, oni mijają mnie po cichu.

Mam też sąsiadów, którzy mnie widząc z daleka wołają przyjazne słowa powitania. Ja też tak robię. Często machamy do siebie dłońią. Wyznam, że bardzo miło wygląda takie machanie z balkonu w ciepły, letni wieczór. Albo wiosną. Zdziwiająco, jak wiele dzieci na tym podwórku postępuje w ten ostatni sposób. Wieczorem raczej źle widzę i doprawdy mam kłopot z odróżnieniem osób w ciemnościach, jednak od ławeczki obok piaskownicy dolatują pełne energii słowa „dobry wieczór!”.

Taka właśnie konwencja. Każdy przyporządkował się do określonej grupy witających bądź nie – zgodnie ze swoim charakterem. Zaobserwowałem jednak, że chociaż wszyscy należeliśmy do jednego zbioru – mieszkańców jednego podwórka – nie wszyscy byliśmy wpasowani do tych samych konwencji tak po prostu. Ilu nas było, tyle było społecznych synaps powitalnych. Jan witał mnie z daleka machaniem ręki i pokrzykiwaniem. Tylko mnie.

Rzecz banalna: wydaje nam się oczywiste, że ludzie dzielą się na bardziej lub mniej znanych sobie i ich zachowania związane są przede wszystkim ze stopniem znajomości i zażyłości. Radosne machanie rączkami nie jest przecież ani powszechnie przyjętym obyczajem, ani obowiązkiem. Teraz wystarczyłoby znaleźć w czasie tylko ów punkt tajemny stanowiący o tym, że między dwójką ludzi mijających się na podwórku powstanie więź – i uczynić go przedmiotem badań.

Na własny użytek zastanawiałem się nad tym, dlaczego ja mam ochotę, by mój świat zewnętrzny pełen był ludzi znanych mi i życzliwych, a dlaczego inni nie mają takiej potrzeby. No bo nie mam wątpliwości, że to i ja jestem sprawcą tego, że niektórzy ludzie pozdrawiają mnie żywiłowo, inni zdawkowo, inni zaś wręcz unikają jakichkolwiek interakcji. Reagują na mnie. Mam tu swój udział i to nie tylko ich trzeba klasyfikować, lecz także to, co robię ja, aby w ludziach wywołać pożądane reakcje.

I tu się zablokowałem w myśleniu, gdyż całą sprawę sprowadziłem początkowo wyłącznie do ludzi w miarę regularnie spotykanych w najbliższym otoczeniu, do twarzy mnie znanych, a i moja twarz była znana. Przypomniałem sobie następujące, połączone ze sobą zdarzenia tej zimy: było ślisko, samochody jeździły byle jak, a jeszcze w dodatku wykoleił się tramwaj. Jadąc samochodem wzdłuż trasy tramwaju, Jan zauważył na przystanku tłum oczekujących ludzi. Akurat w tym miejscu Jan musiał zatrzymać się na światłach, więc odkręcił szybkę i poinformował ludzi, by nie marzli na przystanku tylko podążyli do autobusu, bo tramwaj długo nie przyjedzie. Nikt nie był tu dla Jana znajomym, nie istniały żadne więzi ani wytworzone wcześniej konwencje, spotkanie było okazjonalne i chwilowe. Kilka osób uśmiechnęło się z wdzięcznością i poszło ku autobusowi. Kilku ludzi popatrzyło na Jana niepewnie, niektórzy z nich zbliżyli się i zadali Janowi pytanie upewniające ich o prawdziwości tego, co słyszeli; potem – z lekkim wahaniem – poszli szukać innego środka transportu. Wiele osób jednak trwało na swych stanowiskach wypatrywaczy. Jan mocniej wychylił się z samo-

chodu i wyraźniej powtórzył informację. Ujrzał tylko kilka wypłoszonych spojrzeń. Ludzie nadal tkwili w miejscu, zaś jedna kobieta w popłochu schowała się za tablicę reklamową przed nachalnym intruzem, za jakiego pewnie miała Jana.

Zapewne podobne zachowania wystąpiłyby wówczas, gdyby Jan ostrzegał przed groźnym niebezpieczeństwem – część ludzi skazałaby się z własnej woli na zatrąę z powodu nieufności wobec informatora. Skąd jednak ta nieufność?

Jan uświadomił sobie, że te reakcje były niezwykle podobne do innych, które widział, gdy którejś innej zimy podjechał do grupy zmarzniętych ludzi na przystanku. Powiedział, że jedzie do śródmieścia i jest gotów podwieźć. Ludziska zaczęli na to ochoczo potupywać nogami dla ich rozgrzania, zaś ich wzrok utkwił gdzieś w przestrzeni – żadnego uśmiechu czy słów „dziękuję, nie skorzystam”.

Znając już w komplecie przygody Jana pomyślałem, że wyjaśnienie jest proste – w konwencji naszych zachowań nie ma życzliwego zainteresowania się tym, że ktoś będzie długo czekał na tramwaj, bo awaria. Niewielka liczba ludzi skłonna jest do tego, by sprawdzić wiarygodność źródła i podjąć decyzję. Nie ma też życzliwości objawiającej się spontanicznym witaniem sąsiadów – tylko niektórzy są w stanie podchwycić wyraźny sygnał, który ja przekazuję, że witam baaardzo serdecznie.

Przypomniało mi to regułę PARETO (od nazwiska markiza Vilfreda Pareto, który opisał pewne prawidłowości rządzące istnieniem elit w społeczeństwie). Reguła ta – określana też mianem „20/80” – mówi, że w niejednorodnej zbiorowości, która jest rozpatrywana pod kątem jakiejś cechy, 20% elementów tej zbiorowości reprezentuje 80% skumulowanej wartości tej cechy, która była kryterium wyboru. Jeśli zatem ocenimy klasę szkolną pod kątem posiadania przez uczniów ocen „celujących”, okaże się, że 20% uczniów tej klasy posiada 80% ocen „celujących” spośród wszystkich takich ocen wystawionych całej klasie. Również po-

winnoby się okazać, że w 80% podjętych przez klasę decyzji skutkuje zaledwie 20% informacji podanych przez nauczyciela.

Jeśli już mówię o regule PARETO, to powinienem zaznaczyć, iż podane wartości 20 i 80 są jedynie obrazowaniem rozkładu cech, a nie wartościami faktycznie istotnymi – traktuję zatem te liczby raczej dość umownie...

Czy powinienem sądzić, że 20% ludzi posiada 80% życzliwości?

W przypadku pozostałych 80% mogę liczyć najwyżej na 20%-owy roztwór?

Moje obserwacje – dość pobieżne i nieudokumentowane, ani nie poddane statystycznej ocenie – wskazywały na to, że grupa osób wykazujących coś w rodzaju ostrożnej gotowości do okazywania pozytywnych uczuć, była niezbyt liczna. Właśnie to ta grupa najmocniej tkwiła w konwencji „*mówię ci dzień dobry, kiedy już muszę, bo stoimy naprzeciw siebie twarzą w twarz*”. Tu miałem pewne możliwości uzyskania pożądaných przeze mnie reakcji, gdy mimo wszystko sam okazywałem wyraziste, otwarte i życzliwe, pełne uśmiechu zachowania. Zdecydowaną większość stanowiły jednak osoby zamknięte w sobie, nieufne, niechętne i... niedosłyszające. Przywołuję na pamięć, że wciąż mówię o tłumie osób, do których nieoczekiwanie zwraca się nieznamy człowiek.

Przypomniałem sobie, że niegdyś (jedno-dwa pokolenia wstecz) raczej było odwrotnie. Bardzo wielu ludzi, z którymi o tym rozmawiałem, miało to samo odczucie; wszyscy odżegnaliśmy się od stwierdzenia, że zaciążyło na tym nasze, młodsze o tyle lat, widzenie świata. Wcale nie zamierzam rozpamiętywać przyczyny, które sprawiły taką przemianę. Interesuje mnie to, że owo przypomnienie wywołało myśl, że zmienił się punkt ciężkości w nowopowstałej konwencji. Jeśli zatem konwencjonalne zachowanie (czyli to powszechnie używane) było niegdyś nacechowane spokojną życzliwością, a nieufność i agresja były raczej zjawiskiem marginalnym, to obecnie jest odwrotnie.

Taka sytuacja została przeze mnie nazwana umownie **konwencją złą**. Czemu? Bo okazuje się, że działaniami niekonwencjonalnymi są teraz te, które wyrażają ogłędę, przychylność, które związane są z spontanicznym uśmiechem. Gdy ktoś nie posiada takich cech, na co dzień używa kamuflażu zdawkowości: „*miłego dnia życzeń!*” i jednocześnie – by poczuć się „kimś” – rozgląda się w poszukiwaniu drugiego człowieka, którego skazy bądź niedoskonałości będą lepiej widoczne. Wygląda się samemu dużo lepiej na takim tle.

A co ze strategiami wychowawczymi? Pora nam przygotowywać młodych ludzi, żeby stali się w życiu być niekonwencjonalnymi. I spieszmy się, zanim nie ugrzęźniemy w zgniliznie konwencji.